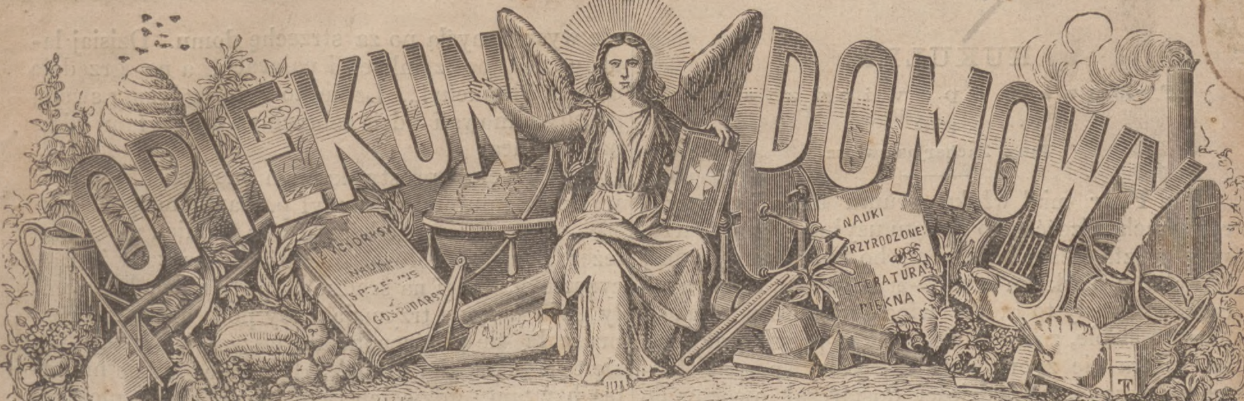


Warszawa dnia 27 Grudnia / 8 Stycznia 1867/8 roku.

Nr 1. | Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. I. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. | Rok IV.



W DNIU NOWOROCZNYM.

Do Czytelników.

Posuwa się wskazówka na wieków zegarze
I cyfrę nam w oddali ukazuje nową...
Nowość zwykle witają uśmiechnięte twarze,
To też dzisiaj świat cały przystrojon godowo,
I gdziekolwiek się zwrócić, wszędzie w rozmów gwarze
Wesołych życzeń brzmi słowo.

Co rok przyjście tej cyfry tak bywa witane,
Co rok na każdym punkcie obu świata połów
Śmiechem, wrzawą ulice pozdrawiają zmianę,
Modlitwą wnętrza kościołów.

I my dziś o rok starsi, poważniejszem słowem
Witamy Was i znowu przyrzeczenie dajem,
Że doświadczeniem wsparci, będziem w lecie nowem
Pracować dla Was, z Wami, ażebyśmy wzajem
Mogli poznać co pięknem, dobrem i wzorowem,
Że w środku drogi nieustajem.

Kilka lat w takiej pracy jużeśmy przetrwali,
A więc idźmy przed siebie raz wytkniętym torem,
Przed nami niech się ciągle światło prawdy pali,
Niech duch dobra kieruje słów naszych doborem,
A Wy, gdy będziem cnoty przykładów szukali,
Bądźcie nam typem i wzorem.

Wołody Skiba.

KUKUŁKA.

Fraszka opowiedziana

przez

Jana Zacharjasiewicza.

Pan Piotr miał włókę gruntu tuż przy samych rogatkach. Część tego gruntu użył na ogród warzywny, reszta leżała odłogiem, bo były same wydmy i glinka z piaskiem grubo-ziarnistym. Z dawnych czasów, kiedy to ludzie więcej dbali o potomków niżeli o siebie, zachował się także przy domku pana Piotra nie zgorszy sadek, który śp. pani Piotrowej przez lat trzydzieści dostarczał owoców do małej budki, zbudowanej przez pana Piotra przy ujściu ulicy Przedmiejskiej.

Po latach trzydziestu wyprowadziła się pani Piotrowa z tej budki na drugi świat, a pan Piotr został z najmłodszą córką Filipcią, a dzisiaj nawet jedynaczką, bo starsze dzieci poumierały.

Starzy ludzie mówią, że żona to trzy węgły domu. Otóż gdy pani Piotrowej w domu niestało, rozwaliła się najprzód budka przy ulicy Przedmiejskiej, potem nawet i sam dom mieszkalny zaczął cóś szwankować, bo trzy krokwie pękły a wiatr marcowy zerwał z dachu trzy łaty gontów i kawał komina urwał. W ogrodzie warzywnym także zabrakło gospodyni. Gąsiennice i jakieś zagraniczne liszki pozjadały kalafiory, kalarepa i buraki spróchniały w ziemi, a czosnek i cebula zniknęły gdzieś bez wieści.

Pan Piotr płakał rzewnemi łzami nad utratą żony i cebuli, skarżył się przed ludźmi, że nietylko postradał ukochaną Zośkę, ale także buraki i kalafiory przeniewierzyły mu się i poszły do sąsiada, aby tam kwitnąć i rość na jego umartwienie.

Filipcia także coś szwankowała. Czarne jej oczki płakały często, a na zagonach było wiele chwastu. Robota nie szła jej w ład. A kiedy z koszami jarzyn „za Żelazną Bramę" małym wózkiem wyjeżdżała, zawsze ktoś z próżnemi konewkami drogę jej zaszedł. Nic więc dziwnego, że jarzyna często do domu wracała

Pan Piotr podupadł znacznie a sąsiedzi zaczęli już z politowaniem patrzeć na niego. Jeden był tylko ratunek. O miedzę z ogrodem pana Piotra był ogród dawnego jego kuma a dziś już nieboszczyka JM pana Jędrzeja, który schodząc z tego świata, zostawił całe gospodarstwo swemu jedynakowi panu Pawłowi.

Mimo nieuniknionych granicznych sporów, miał pan Piotr do Pawełka szczególną słabość. Najprzód w kalendarzu Piotr i Paweł mieli wspólny dzień, a to wystarczało już staremu ogrodnikowi aby Pawełka serdeczniej za rękę uścisnąć.

Pawełek ściskał wzajem z wielką serdecznością rękę sąsiada, a gdy na wierzchniej wardze wąsy poczuł, zaczął i Filipcię serdecznie za drobną rączkę ściskać.

Filipcia jednak trwożliwie chowała pod fartuszek białą swoją rączkę i z jakiemś przestrachem patrzała na Pawełka, w którego oczach widziała dziwnie tryskające płomienie.

Martwiło to pana Piotra, aż uczynił folgę swemu sercu.

— Pożal się Boże, panie Bartłomieju! rzekł raz do przyjaciela i liweranta kamieni brukowych— pożal sie Boże ten świat dzisiejszy! Dawniej dziecko nie wyszło myślą po za strzechę domu. Dzisiaj lata gdzieś po zamkach i pałacach, a na grzędzie chwast i łopuchy!... Lepiej to było, gdyśmy swojej grzędy pilnowali—dziś żebrzemy wnijścia tam, gdzie nas niechcą!

— Przecież prosty kamień niezechce sąsiadować z marmurem! zauważył p. Bartłomiej.

— Ba mości sąsiedzie, u was kamień może tam leżeć, gdzie go położą. Jeden przeznaczony jest do rynsztoka, drugi na środkowe pasy ulicy, które cały gwin w ryzie trzymają, aby pod bryką nie rozpruszyła się ta niecnota na wszystkie wiatry, jak się to na Brackiej dzieje! Ale ludzie, ludzie nie lubią być tam, gdzie ich ręka pana Boga ulokuje. Wyciągają ciągle nosy do góry jak bruk na Brackiej!

— Czyż i wasza Filipcia podobnie czyni?

— Moja Filipcia, mości sąsiedzie, to w gruncie dobre dziecko. Na córkę ogrodnika ma wprawdzie trochę rączkę małą. Chwastu z zagonu nie wypiele, a zato kwiatki umie sadzić drobnemi paluszkami, jakby jaka czarownica! Zdaje się że z pod jej palców kwiatki wyrastają.

— I to zarobek!

— Prawda, ale widzicie, kobietę która nie lubi buraków i rzepy, tylko bratki i lewkonie....

— Ej co tam bredzicie! Ja lubię także marmur i porfir... ale gdy obaczę furę kamieni brukowych, po jednej stronie spłaszczonych, to mi serce w piersiach z radości skacze!..

— To może tak u was, ale ja wam powiadam, że kobieta, która lubi same wątłe kwiatki, nie pójdzie za człowieka, który ma dłoń narobioną!...

Pan Bartłomiej zamyślił się.

— Do tego jeszcze, prawił dalej p. Piotr, codzień trzeba ją wysłać z jarzynką za Żelazną Bramę. A tam jakby się zmówili wszyscy próżniacy z szkiełkami w oku! Dziewczę jak poziomka, cóż więc dziwnego że ten i ów zyzem na nią strzeli. A dziewczęciu zaraz się w głowie przewróci! Może on by się zemną ożenił! szepnie jej szatan do ucha! I nieszczęście gotowe!

— To źle, odparł p. Bartłomiej — gdyby mi kamień brukowy powiedział, że chce być gzemsem przy jakim pałacu, jabym go potłuc kazał na miazgę!

— Tak, z kamieniem to zrobić można, ale dziecko własne....

— Prawda, prawda, z dzieckiem trzeba się tak obchodzić jak z piaskowcem!

— Otóż wiecie sąsiedzie, że po zgonie nieboszczki cóś mi się nieszczęści. Myślałem, że się sklei stadło po Bożej myśli. Pawełek chłopak pracowity i włóka dobrej, ogrodowej ziemi także nie leży przy drodze. Ale cóż powiecie? Filipcia nabiła sobie głowę, że jakiś pan w kusym kubraku po nią przyjdzie!

— At to nieszczęście!

— Nieszczęście, sąsiedzie, wielkie nieszczęście!

I tak dumali dwaj przyjaciele i wychylili trzy butelki piwa bawarskiego nie wiedząc wcale, że właśnie w téj chwili zbliżał się do podupadłego domku wysłannik Nieba, który go miał na nowo odbudować.....

Trzeciego dnia zjawił się u pana Piotra jakiś jegomość z dużą torbą pod pachą. Patrzał przez złote okulary w tę i ową stronę, kazał nawet służą-

cym jakiś stolik na jednéj nodze postawić i coś tam ustawicznie ołówkiem rysował.

Wreszcie po kilkogodzinnéj pracy otarł przybysz pot z czoła, i zapytał pana Piotra, co chce za kawał nieużytego gruntu, przez który pójdzie koléj żelazna.

Pan Piotr mało ze skóry nie wyskoczył z radości. Zażądał cóś dla targu za kawał pustyni, ale jegomość z okularami nie miał ochoty targować się tylko zapisał do pugilaresu, i kazał mu za kilka dni przyjść do siebie.

Od tego dnia zaczęło się szczęście pana Piotra. Za kawał nieużytego gruntu leżał w skrzyni spory worek pieniędzy. Prócz tego jeszcze zbiegli się do niego różni przemysłowcy. Jeden kupił sztukę nieużytecznéj ziemi, aby przy kolei wybudować gospodę, i zapłacił na wagę złota. Drugi założył jakąś fabrykę.

Wreszcie po niejakim czasie przybył na miejsce inżenier miejski i wymierzył przez furtkę pana Piotra nową ulicę, za tę również sowicie panu Piotrowi zapłacono. Do nowéj ulicy zaczęli się cisnąć budujący domy, i puste grunta pozakupywali za summy niesłychane!

Pan Piotr aż otył z radości, a policzki świeciły mu się jakby były przeciągnięte pokostem. Pawełek tylko posmutniał i przez szpary parkanu patrzał na bieluchną twarz Filipci, gdy kwiatkom wody dawała. Wzdychał i płakał, bo powodzenie pana Piotra odebrało mu wszelką nadzieję.

Wiadomość o nagłem wzbogaceniu się pana Piotra rozeszła się po całém przedmieściu, a nawet sięgnęła pierwszych ulic saméj stolicy. Mówiono o krociach, które szczęśliwy ogrodnik w skrzyni chowa dla swojéj ukochanéj jedynaczki.

Wraz z tą wiadomością przyszedł w dom pana Marcina gość nowy, którego Filipcia nazywała panem Symforjanem.

Pan Symforjan był dalekim krewnym pana Piotra. Dotąd jednak niezgłosił się nigdy do niego. Miał on na sobie marynarkę najświeższego kroju, biały cylinder i lornetką na nosie. Po południu zwykł siadywać na wystawie cukierni Hotelu Europejskiego i paląc amerykańskie cygaro, patrzał z dumą na publikę przechodzącą Krakowskiem-Przedmieściem.

Był to młodzieniec czystej warszawskiéj krwi, wiedział co „szyk” i imponował w głównéj alei Saskiego ogrodu. Trudno więc było wymagać, od niego, aby przyznawał się do jakiegoś ogrodnika, i w tak modnem ubraniu wchodził w ubogi, przedmiejski domek. Trudno także było wymagać, aby ogrodniczkę jadącą na koszach jarzyny nazywać kuzynką i z nią wchodzić w stosunki pokrewieństwa.

Wieść jednak straszliwa o miljonach pana Piotra dotarła i do ucha fałszywego złotego młodzieńca. Zadrgnęło w nim serce. Spojrzał do zwierciadła Semadeniego w ogrodzie Saskim, podkręcił wąsik i uśmiechnął się z zadowoleniem. Zwycięztwo było dla niego łatwe! Ogrodniczka i milion nęciły go dniem i nocą.

Prócz tego były jeszcze inne dosyć ważne motywa. Pan Symforjan był chodzącem złudzeniem. Błyszczał on świeżą marynarką i śnieżnemi kołnierzykami, ale na ciele była koszula jak noc brudna, a w ciele ustawicznie głodny żołądek odzywał się z niezadowoleniem. Symforjan bowiem był tylko tak zwanym dietaryuszem w Izbie Obrachunkowéj, i przepisywał cały dzień Boży za pół rubla dziennie. Do niczego innego niebył zdolny, bo prócz „szyku” niczego się w życiu nie uczył.

Otóż pan Symforjan usłyszawszy o miljonie kuzyna ogrodnika, zrzucił pychę z serca i wziął najświeższy tużurek, aby w ubogim domku jakoś zaimponować.

I zaimponował rzeczywiście, ale—nie panu Piotrowi. Filipcia za to nie mogła napatrzyć się na Kuzynka Symforcia i podziwiała jego tużurek, szyk a nawet i rozum.

Od tego czasu Symforjan codziennym prawie był gościem w domku ogrodnika. Oczki Filipci błyszczały przez cały czas pobytu kuzynka jak robaczki świętojańskie, ale siwa głowa pana Piotra potrząsała się od czasu do czasu od lewego ucha do prawego na znak widocznego nieukontentowania.

Trudno wiedzieć, czy Filipcia była szczęśliwą, czy nieszczęśliwą. Czasami śmiały się jéj usta, śpiewała wesołe piosnki i rada dawała dzieciom, patrzącym przez szpary parkanu, całemi garściami agrest i pożyczki. Czasami znowu mocno płakała, a nawet widziano ją klęczącą przed obrazem św. Piotra i Pawła, chociaż trudno było przypuścić, aby do obu Świętych Pańskich jednakie miała nabożeństwo. Gdyby zamiast Św. Pawła był Św. Symforjan, nabożeństwo jej byłoby w równej mierze podzielone.

W tym jednak stanie rzeczy wyobrażała sobie tylko jedynaczka patrona kuzynka swego, chociaż sama niewiedziała z jakimi przyborami. Sam bowiem Symforcio nie umiał nic o swoim przypadkowym patronie powiedzieć, czy był biskupem czy tylko wyznawcą. Pan Piotr był mocno zgorszony z tego nieuctwa swego kuzynka i jakby na przekorę mawiał wiele o Pawełku, który nawet w kościele parafialnym cały różaniec śpiewać umiał.

W chwilach cierpień i dąsów rodzica miała, Filipcia tylko jedną pociechę.

W ogrodzie drzewnym był olbrzymi jesion, zasadzony jeszcze ręką pra-pra-pradziadka pana Piotra. Był to niejako talizman rodziny.

Z jego liści, szybko lub późno się rozwijających wróżył pan Piotr o zmianach powietrza na cały rok. Wnosił z tych oznak, kiedy sadzić buraki, a kiedy czosnek i cebulę. Stary jesion nigdy go nie okłamał.

Prócz roślinnych swoich przepowiedni, miał jeszcze tenże jesion w wnętrzu swojem żywą wróżkę.

W dziuple jednego konaru było odwieczne gniazdo kukułki. Kilkanaście, a może i kilkaset pokoleń zmieniały się w służbie około rodzinnego gniazda JM. Pana Piotra. W najważniejszych chwilach rodzinnych, np. czy sadzić więcej sałaty czy brukrwi, zapytywano kukułkę gnieżdzącą się w wypróchniałym konarze jesionu a odpowiedź jéj była wyrocznią. Kiedy bowiem kukułka zawołała trzy razy ku-ku-ku, to znaczyło sa-ła-ta. A dwukrotne ku-ku, rzepa lub brukiew.

W marzeniach i umartwieniach swoich nie pominęła Filipcia tej wyroczni radosnej. Rankami i wieczorami przychodziła pod jesion i cichym głosem szeptała do dziupły jesionu: czy Symforcio mnie kocha? Odpowiedź była zawsze ku-ku, co znaczyło: kocha...

Wtedy biedna Filipcia ocierała łzy i z rajskim uśmiechem na twarzy krzątała się koło gospodarstwa marząc o tej chwili, kiedy Symforcio uwol-

ni ją od tej zmudnej pracy i za pieniądze zamknięte w skrzyni, kupi dom w mieście i karetkę choć jednokonną.

W niedzielę rano właśnie golił sobie pan Piotr brodę, gdy do izby weszła Filipcia bledsza niżeli zwykle. Pan Piotr obaczył ją w zwierciedle i brzytwą zajechał w brodę.

— Tam do kata, zawołał szukając bibuły aby krew zatamować — tam do kata, mało nie odciąłem sobie całej brody! A to wszystko przez ciebie Filipciu! Martwisz mnie, i jak widzę przed czasem trzeba wleźć pod ziemię!

— Co ci też to tatuńcio w dzień święty wygadują, odparła z płaczem Filipcia, czyż ja już wszystkim takim ciężarem stała się na tym swiecie! I rzekłszy to zaczęła rzewnie płakać.

Pan Piotr skwapliwie starał się uspokoić krew ciekącą z brody. Użył do tego sporego kawałka chleba zarobionego z pajęczyną. Przylepił ten plaster na brodę i zwrócił się do jedynaczki, aby raz rozciąć ten węzeł gordyjski, który mu dniem i nocą na gardło naciskał, a którego rozmotać nie mógł.

— Filipciu, rzekł z powagą ojca, poprawiając plaster na brodzie — Filipciu, drogie dziecię moje! Chcę z tobą pomówić o ważnéj rzeczy.

— Ja także w tym samym celu przyszła do tatuńcia, szepnęła trwożliwie Filipcia.

— Najprzród wybij sobie z głowy tego nygusa Symforka, bo to chłopiec do niczego!

— Jak to — jest urzędnikiem! Wszak urzędnik coś więcej znaczy niżeli ogrodnik!

Pan Piotr zmarszczył czoło. Poprawiwszy plaster na brodzie, odparł z całą powagą:

— Bluźnisz moje dziecko. Sama niewiesz co mówisz. Każdy stan jest dobry, jeśli człek poczciwie pracuje. Ale o Symforku tego powiedzieć nie można. Niczego się nie uczył, tylko kawał sukna zgrabnie na grzbiecie nosić. Za to zaś nic nie płacą, przeciwnie drogo kosztuje. Jest on skrybentem w kancellarji, jak wyrobnik, który na dni tylko zgodzony. To nie znaczy być człowiekiem, ale maszyną, która dziennie tyle a tyle liter ma nagryzmolić takich samych, jak ma przed sobą na formularzu. Jeżeli człowiek do niczego nie jest zdolny, tylko do takiej maszynkowej roboty, to lepszy od niego jest parobek, który przecież końmi, motyką, i rydlem według swego upodobania kieruje i przytem coś przemyśliwa! Paweł co innego. Obraca pracą i kapitalikiem....

Filipcia na te słowa zalała się łzami. Postać brukowego eleganta stanęła obok narobionej postaci Pawła! Rozumie się, że Paweł wyszedł jak najgorzej na tem porównaniu!

Długi czas patrzał pan Piotr rozrzewnionem okiem na płaczącą jedynaczkę, poprawiając od czasu do czasu usuwający się plaster z brody, aż wreszcie rzekł:

— Cóż cię tak nęci do tego próżniaka?

— Niewiem, ale wiem, że bez niego żyć nie mogę! odpowiedziała śród łkania Filipcia.

— Tam do kąta! Czy człowiek jeden z dwóch ludzi się składa?

— Symforcio mówił, że w miłości tak się rzecz ma!

— Gwałtu, toż już miłość jest między wami? Krzyknął pan Piotr a szmat chleba odpadł odbrody.

— A jusciż że jest, kochany tatuńciu! wyszepnęła Filipcia i spuściła oczy.

Pan Piotr otarł pot z czoła. Przypomniawszy sobie jednak, że miłość w dzisiejszem znaczeniu tego słowa nie znaczy jeszcze tyle, ile dawniej znaczyćby mogła, uspokoił się nieco i rzekł:

— Wciąż on tylko tak.... tak.... wzdycha do ciebie!

— Tak... on wzdycha do mnie... a ja... ja także wzdycham!

— Wzdychasz... przecież nie do niego! Wzdychasz do Pana Boga.

— Tak tatuńciu. Wzdycham do Pana Boga, świętego Pawła i... Symforcia.

— O świętych nie mówi się tak poufale: do Symforcia — ale do ś. Symforjana.

Filipcia zamilkła. Panu Piotrowi zaczęła krew ciec po brodzie.

— Dla czegóż moje dziecko, niezapytałaś się pierwéj kogo, niezasięgłaś rady, jak to dawniéj u nas w rodzie bywało.

— Właśnie żem to uczyniła, kochany tatuńciu, pytałam — kukułki!

— Kukułki? I cóż kukułka odpowiedziała?

— Wszystko dobrze. Najprzód że Symforcio mnie kocha, że z nim będę szczęśliwa. Za Pawełka iść mi niekaże, bo Pawełek nigdyby mnie nie uszczęśliwił!

Pan Piotr myślał nad tem chwil kilka. Przylepiwszy napowrót plaster do brody, ozwał się:

— Więc to wszystko wykukała ci kukułka!

— Tak tatuńciu!

Znowu myślał czas niejaki pan Piotr.

— Czy mówiłaś komu o tej wyroczni kukułki? zapytał po chwili.

— Nikomu nie mówiłam!... Tylko razu jednego gdyśmy w ogrodzie oboje byli —

— Co to znaczy „oboje"?

— Ja i... Symforcio!... Otóż wtedy mówiłam Symforciowi, a on długo nadtem myślał i w końcu powiedział mi, że tradycje wiele znaczą w familji i że ich duszą i ciałem trzymać się trzeba! Kiedy kukułka nic przeciw naszemu kochaniu nie ma, to i ojciec nic mieć nie może.

Pan Piotr pokiwał głową i uśmiechnął się: Po chwili rzekł do córki:

— Jak widzę, ten twój Symforcio, to zgrabny chłopiec. Ale mnie nie oszuka! Dla czego to on pierwszy nas nie znał, kiedyśmy byli ubodzy? Dopiero gdy się dowiedział o skrzyni pełnej pieniędzy, przyszedł do ciebie i nazywa cię kuzynką! Nie z tobą, ale ze skrzynią moją chce on się ożenić!

— Uchowaj Boże kochany tatuńciu, przerwała Filipcia, on po sto razy to mi powtarzał, że nie pragnie żadnego majątku, że mnie weźmie choćby tylko w koszuli....

— Et! przerwał pan Piotr i machnął ręką, to jest wszystko terefere! Zresztą, ja niechcę stawać w drodze twojemu szczęściu. Wyroczni kukułki lekceważyć nie można. Jutro o godzinie piątej po południu pójdziemy oboje pod jesion i zapytamy kukułki. Jeżeli na korzyść Symforka odpowie, to niech się dzieje wola Boża!

Filipcia ucałowała rękę ojca i skoczyła z radości, bo była pewną, że kukułka każe jej iść za Symforcia.

(d. c. n.)

Robert Stephenson.

Był synem znakomitego Jerzego Stephensona, pierwszego, który zbudował lokomotywę i upowszechnił koleje żelazne i choć pochodził z biednego stanu, z posługacza przy machinach parowych, w kopalniach węgla kamiennego — doszedł do ogromnego majątku zawartego w kopalniach węgla i fabrykach żelaza. Robert zwany Stephensonem młodszym wstąpił w ślady ojca i poświęcił się także inżenerji i mechanice. W swoim czasie zbudował najlepszą lokomotywę, za co dostał 3,000 rs. nagrody. Następnie budował wiele dróg żelaznych w Anglji, Francji i Szwajcarji, postawił kilka pięknych mostów i nakreślił plan drogi żelaznej przez międzymorze Suez. Najsławniejszem atoli jego dziełem był most rurowy lub tubowy zwany Brytanja, rzucony między Anglją a wyspą Anglesey po nad zatoką Convay i kanał Menai. Most ten składa się z olbrzymiej rury z blachy żelaznej, opartej na kamiennych filarach, wewnątrz której to rury przechodzi kolej żelazna. Most zaczęty w roku 1847 ukończonym został w roku 1850; długość jego wynosi stop 2,245. Od czasu wybudowania tego mostu, rozpoczęły się w Europie i w Ameryce upowszechniać mosty żelazne bądź tubowe czyli rurowe, bądź też, co częściej, mosty żelazne kratowe, lżejsze od tubowych i łatwiejsze do zbudowania, a pod względem trwałości nie ustępujące tubowym, pomiędzy innemi takie żelazne mosty kratowe w dwóch miejscach znajdują się na Wiśle: pod Tczewem i pod Warszawą.



Robert Stephenson.

Najwięcej atoli mostów żelaznych liczy Ameryka. Mosty żelazne nad murowanemi mają te przewagi: są lżejsze, niepotrzebują zbyt silnych fundamentów i wielu filarów a temsamem i taniej kosztują. Wzgląd ten ostatni bardzo wiele znaczy, taniość dozwala na upowszechnienie mostów stałych, a mosty stałe są jak wiadomo ogromnem udogodnieniem i prawdziwem dobrodziejstwem. Stephenson więc który dał początek tym mostom, dał jednocześnie sposób wykonywania owych udogodnień i dobrodziejstw a tym sposobem zasłużył sobie na uznanie ogółu. Stephenson urodzony w roku 1803, umarł w 1859 r.

Al. M.

RZECZ O TYTONIU.

(Ustęp I-y).

Używanie tytoniu tak się upowszechniło, że mało znajduje się dziś mężczyzn, którzyby nie ulegali temu zwyczajowi. Co większa, już nawet kobiety i młodzież zaledwo wychodząca z lat dziecinnych, puszczaniem dymu z tak zwanych *papierosów*, marnują czas przeznaczony do nauk i zatrudnień właściwych wiekowi i płci swojej. Nie potępiamy bezwarunkowo palenia tytoniu z umiarkowaniem, w porze i miejscu właściwem, powstajemy tylko na nadużycie przechodzące w nałóg, który szkodzi zdrowiu, zanieczyszcza ciało, zajmuje czas, wyniszcza kieszenie, a niekiedy przy nieostróżności, staje się powodem smutnych wypadków pożaru.

Kiedy więc tytoń gra taką rolę w powszedniem życiu naszem, sądzimy, że nie odrzeczy będzie skreślić krótką jego historję.

Rośliny do rodziny Tytoniu należące, z małym wyjątkiem wszystkie są jednoroczne. Liście ich są niedzielne, lancetowate, z całemi brzegami i dość soczyste. Korony kwiatów o 5 pręcikach, równie jak kielichy na pięć części podzielone. Linneusz policzył tytoń do rodziny naturalnej roślin, które nazwał po dejrzanemi. W niej mieszczą się *Blekot* (Hyosciamus), *Bieluń* (Datura), *Pokrzyk* (Belladona) i wiele innych ziół jadowitych. Pomimo to, kartofle należą także do tej rodziny. Tytoń w stanie świeżym mało ma zapachu i smaku, liście jego dopiero po wyschnięciu, nabierają odurzającej woni i bardzo ostrego a gorzkiego smaku. Ojczyzną tytoniu równie jak kartofli, jest Ameryka.

Kiedy zważymy, że roślina ta nie ma ani jadalnego owocu, ani korzenia lub innych części służących ku pożywieniu; że nie zaleca się ani piękną powierzchownością, ani przyjemnym zapachem, że przeciwnie ma smak niemiły a użyta wewnątrz, sprawia nudności, wymioty, zawrót głowy a niekiedy i śmierć sprowadza, — dziwić się zaiste należy, że przy tak niekorzystnych własnościach mogła się stać przedmiotem starannej uprawy, obszernego handlu, źródłem dochodów państw, oraz dostarczyć zajęcia tysiącom ludzi, a miljonom środka codziennej rozrywki. Śmiało powiedzieć można, że tytoń jest w historji roślin przykładem niespodziewanego i niezasłużonego wyniesienia.

Hiszpanie przybywszy do Ameryki, znaleźli tam tytoń: według podania podróżopisarzy, tuziemcy używali liści jego jako lekarstwa gojącego rany, a na dworze meksykań-

skim palono cygara. Ten sam zwyczaj Anglicy zastali w Wirginji, zakładając tam swoje osady. Zdaje się jednak, że Europejczycy poznali tytoń po raz pierwszy na wyspach Antylskich, gdyż nazwa *Tabako*, jest tameczną i właściwie oznacza rurkę, przez którą wciągano dym tytuniowy, nie zaś samą roślinę, która po amerykańsku nazywa się *Yete*, a po peruwiańsku *Sayri*. Mylnem więc jest, pomimo swego upowszechnienia mniemanie, jakoby tytuń wziął nazwę swoją od wyspy *Tabago*.

Włoch Benzeni, który od r. 1542—1556 podróżował po Indyach zachodnich, w pół wieku po odkryciu Ameryki, dokładnie opisał użycie tytoniu. Wkrótce potem, bo w r. 1559 tytoń był wprowadzony do Lizbony jako roślina lekarska, a poseł francuzki w Portugalji *Nicot*, od którego nazwiska nadano tej roślinie botaniczne miano, *Nicotiana*, posłał jej nasienie królowej Katarzynie Medicis, od czego liście tej rośliny otrzymały we Francji nazwę *ziela królowej matki* (herbe de la reine mére), we Włoszech zaś nazywano je, *herbe de St. Croix* i *herbe de Ternabou*, gdyż Nunciusz papiezki w Lizbonie St. Croix i poseł francuzki Ternabou, do Włoch je wprowadzili. W r. 1586 z osady założonej przez Waltera Ralega, w Wirginji, przywieziono tytoń do Anglji, a towarzysz Ralega, Hariot, podaje, że Anglicy nauczyli się palić tytoń od Indyan. Wkrótce potém użycie tej rośliny przeszło do Holandji, Francji, Hiszpanii, Portugalji i dalej aż do Turcji, Persji, Chin, i Japonji. Już w r. 1601, to jest zaledwo w 50 lat po wprowadzeniu tytoniu do Portugalji, palono go na wyspie Jawie i w Chinach, w Japonji zaś, jak się zdaje, wprzód jeszcze używać go zaczęto.

Jak każda nowość i tytoń uległ prześladowaniu, znalazł jednak gorliwych zwolenników i obrońców. Jednym z najciekawszych pomników tego rodzaju jest diatriba króla ang. Jakóba I-go przeciwko paleniu tytuniu: ukazała się ona w 1619 r. pod napisem *Misokapnos*, a napisana w stylu dysput scholastycznych owego czasu. Uczony król wskazuje naprzód na nieprzyzwoitość aby narody cywilizowane przejmowały zwyczaje barbarzyńców i stara się dowieść, że użycie tytoniu jest szkodliwe zdrowiu, osłabia ciało, przytępia umysł, pociąga za sobą niechędóstwo i nieprzystojnym jest zwyczajem w obec towarzystwa dobrego tonu, że jeżeli zwyczaj ten wzrastać będzie, to i kobiety zostaną zmuszone używać go, gdyż inaczej niepodobna im będzie obcowanie z mężami przesiąkłemi nieprzyjemną tytoniową wonią.

Jednocześnie prawie z edyktem króla Jakóba I-go zabraniającym uprawę tytoniu w Anglji; Jezuici w Polsce w piśmie pod nazwą *Antimisocapnos* stanęli w jego obronie. Zresztą czas okazał, że nagana tytoniu była głosem wołającego na puszczy; użycie jego bowiem w Anglji doszło do wielkich rozmiarów i dopiero w pierwszej połowie upłynionego stulecia, zmniejszyło się nieco; osoby bowiem lepiej wychowane, zaczęły uważać za nieprzyzwoitość palenie tytoniu w wyższych towarzystwach. Natomiast weszło w zwyczaj zażywanie tabaki najkosztowniejszych gatunków. A kiedy niejaki Rafał Thorius w 1628 r. napisał hymn na pochwałę tytoniu, Papież Urban VIII, pod karą exkomuniki, wzbronił zażywać tabakę w kościele.

Jednym z powodów upowszechnienia tytuniu była łatwość z jaką ta roślina udawała się na rozmaitym gruncie i w rozlicznych klimatach; granice bowiem jej uprawy dochodzą do 62—63^{0} szer. półn. w Skandynawji t. j. do m. Bergen w Norwegji. Uprawiają je więc w Europie, Afryce i Azyi. Pomimo to w niektórych krajach wzbraniające rozporządzenia Rządów, stawały na przeszkodzie do jej rozpowszechnienia; prócz tego w widokach finansowych nałożono opłatę od uprawy, wywozu i sprzedaży tytuniu; handel nim w niektórych krajach stał się wyłączną własnością Rządu, a przez to produkt ten doszedł do cen wysokich.

Wybornych gatunków tytoniu dostarcza Ameryka. Słyną nim szczególniej Wirginja, Karolina, Venezuela i Kuba. Sama Anglja sprowadza z Ameryki rocznie trzydzieści kilka miljonów funtów. Z Brazylji także wiele go wywożą; same okolice Rio-Janeiro dostarczają innym częściom świata rocznie do 3 miljonów funtów. W Europie tytuń najstaranniej się uprawia w Holandji, Flandrji, Alzacji, w prowincji Pfalz i w Węgrzech, ale najlepiej sie udaje i jest najwięcej poszukiwany, turecki. Na wyspie Jawie sadzą tytoń w górach do wysokości 2—3000 stóp, nakoniec pielęgnują go w Chinach, Japonji, a nawet w Australji.

Cygara każdemu dziś znajome, upowszechniły się w Europie dopiero od początku XIX wieku, lecz daleko pierwej używali ich Hiszpanie. Gatunki cygar są bardzo rozmaite, różnią się kształtem, wielkością i barwą, są też na rozmaite ceny, a niektóre bardzo drogo się płacą. Najlepsze pochodzą z St. Domingo, wyspy Ś-go Tomasza, Kuby, a mianowicie z Hawanny, gdzie niedaleko miasta tegoż nazwiska, Anglik Wodwil założył słynną ich fabrykę. Cygara hawańskie odznaczają się przyjemnym dla amatorów aromatem, który ma im nadawać skrapianie odorem rośliny znajomej w Botanice pod nazwą *Eupatorium aromatisans*. Cygara robione w Europie ze sprowadzanych z Ameryki liści tytuniu, nigdy niewyrównają w dobroci, urządzonym na miejscu. W ogólności cygara miernych nawet gatunków im dłużej w suchem miejscu są przechowywane i lepiej skręcone, poprawiają się i nabierają zapachu.

Niektórzy właściciele ziemscy w południowych guberniach Cesarstwa z nasion amerykańskiego tytoniu, otrzymują produkt wcale niezły. *Gustaw Belke.*

Przypisek od Redakcji.

Ustęp II artykułu „*Rzecz o tytoniu*", napisany przez Daniela *Neufelda*, zawierać będzie bliższe szczegóły o tej roślinie, traktowanej ze stanowiska jej kultury; trzeci zaś i ostatni napisany przez ś. p. Józefa Gluzińskiego, mówić będzie: o szkodliwym wpływie tytoniu zdrowie na ludzkie.

KORESPONDENCJA OD REDAKCJI
Opiekuna Domowego.



— Panu *L H.* Artykułu Pańskiego „*O duchach*," drukować nie będziemy, gdyż wiara Pańska w widzenie swego brata po śmierci nieopiera się na żadnym przekonywającym dowodzie, a fakt, któryś nam opisał, nie uważamy wcale za nadnaturalny, ale za prosty wynik fantazyi i rozbudzonej wyobraźni. Fotografja zaś ducha dołączona do artykułu, śmiech tylko wzbudza, gdyż niechce nam się wierzyć, aby duch człowieka po śmierci miał jesz-

cze pretensją uwieczniania, za pomocą *Kamery-obscury* swego oblicza. Radzimy Panu przeczytać: „Fantazyjne objawy zmysłowe" p. Szokalskiego; co w zaś do rękopismu i przesłanej nam fotografji, możesz je pan z Redakcji odebrać.

— *Czytelnikowi z Leszna.* Zapytujesz Pan czy jest możliwem, żeby w niektórych miejscach, naprzykład w piwnicach, mogło być ciepło w zimie a zimno w lecie, i jak sobie to odwrotne działanie cieplika wytłómaczyć? Odpowiedź na to bardzo prosta. Przypuśćmy że w pewnem miejscu panuje przez cały rok jednostajna temperatura np. 8 stopni ciepła, rzeczą jest oczywistą, że jeżeli na dworze jest kilkanaście stopni zimna, to w takiem miejscu będzie stosunkowo ciepło, a jeżeli na zewnątrz jest dwudziestokilko-stopniowy upał, to tam będzie bardzo chłodno. Nie potrzeba tutaj żadnego odwrotnego działania cieplika, potrzeba tylko jednostajności, głównym zaś warunkiem przy budowie piwnic jest to żeby się w nich przez cały rok jednostajna temperatura utrzymywać mogła, dla tego też piwnice tego rodzaju nietylko istnieć mogą, ale powinny.

— *Prenumeratorce naszéj z kantoru W. Glücksberga.* Powiastkę p. n. *Czarny charakter*, którą umieścimy, racz pani uważać za dotrzymanie obietnicy danej na banhofie Drezdeńskim.

— *Czeladnikowi Krawieckiemu ze Starego Miasta.* Zapytujesz nas Pan co to jest Emancypacja kobiet? i czego chcą te emancypowane panie? Co to jest — jeszcze z biedy wytłómaczyć można, ale czego one chcą — tego i same pewno nie wiedzą. Emancypacja, jestto wyzwolenie, wyłamanie się z pod pewnych praw i obowiązków, kobieta emancypowana chce być wszystkiem, wyjąwszy kobietą; przemocą wdziera się w prerogatywy mężczyzn, a najzupełniej zapomina że Stwórca inne jej cele przeznaczył, być mężczyzną, nie podzielając jego trudów, nie chce być kobietą, bo się obawia szczytnych obowiązków żony, matki i gospodyni; słowem kobieta emancypowana, jest to kawka w pawich piórach: pawie z niej szydzą, a kawki ją dziobią. Strzeż Boże, biednemu człowiekowi spotkać na drodze swego żywota emancypantkę!

— Czyniąc zadosyć żądaniu zgłaszających się Prenumeratorom, zawiadamiamy ich, iż w ciągu IV kwartału rb., wysłaliśmy powtórnie wedle wskazanych adressów, brakujące im pojedyncze numera „*Opiekuna Domowego*" jako to:

Z roku 1866 i lat poprzednich.

Sarosiek Józ. Stacja Grodno, r. 1866, Nr. 22. — **Gorczyński Jul.** Kutno, r. 1865, Nr. 49, r. 1866, Nr. 33.—**Weltman,** Włocławek, nr. 49, 50.

Z roku 1867.

Bochwic Ot. Stacja Nieśwież, nr. 19. — **Paderewski Jan.** Zasławl., nr. 16, 18,— **Ks. Pikalski.** Nowy Radomsk nr. 22, 34.— **Krasnosielski Jak.** Czigiryn, nr. 12, 14,—17, 23, 24, 25 —**Tenisowski.** Praszka, nr. 29, 36.—**Sarosiek Józ.** Grodno, nr. 26. — **Gorazdowski Józ.** Sokołów, nr. 29.—**Gorczyński Jul.** Kutno, nr. 3. **Jasieniecki Hip.** Nowomirgoród, nr. 2, 8, 9, 14— 16.—**de Krauze Gust.** Bar, nr. 13, 20, 38. — **Ks. Seneńko Fr.** Krzywe Jezioro, nr. 17.—**Gordziałkowski Lud.** Krupka, nr. 35.—**Godlewski Fr.** Szawle, nr. 7, 17. — **Modzelewski Teo.** Dżuryn, nr. 35.—**Bagiński Ig.** Krasiłów, nr. 27 dowłącznie 32. — **Suchecki Tad.** Radomsk, nr. 7. — **Żarska.** Ostrowiec, nr. 14. 15.— **Stokowska M.** Gozdków, nr. 21. — **Butkiewicz Em.** Lida, nr. 20. — **Ks. Wypowski,** Kielce, nr. 38,48;—**Zadarnowska,** Słonim, nr. 21, 33, 48.—**Sarosiek Józ.**, Stacja Grodno, r. 1866 nr. 22. — **Gorczyński Jul.** Kutno r. 1865 Nr. 49, r. 1866 nr. 33. — **Z roku 1867.**—**Bochwic Ot.** Stacja Nieśwież nr. 19;—**Padarewski Jan,** Zasławl nr. 16, 18;— **Ks. Pikalski,** Nowy-Radomsk nr. 22, 34;—itd. itd.

ROZMAITOŚCI.

— **Kalendarze tanie na rok 1868.** Wyszło ich dwa. Dawniej wychodziło ich więcej i rozchodziły w kilkunastu tysiącach egzemplarzy. Dziś i połowa tego nie wychodzi. Ludzie są w biedzie, robią oszczędności na tem co się im zbytkiem zdaje, niestety! i książki i naukę jeszcze u nas niektórzy do zbytku zaliczają.

Z dwoch Kalendarzy jeden nosi na okładce nazwę *Rodzinnego*—drugi *Domowego*. Pierwszy kosztuje złotówkę (kop. 15)— drugi dwadzieścia groszy (kop. 10). Kalendarz *Rodzinny* jest następcą Domowego z r. 1867 — Kalendarz *Domowy* tegoroczny przybrał sobie bezprawnie nazwę, bo myślał że podszywszy się pod firmę lepszego Kalendarza i sam się stanie lepszym. Sprawdziło się jednak przysłowie: że kaptur nie czyni mnicha; *Kalendarz Domowy* na r. 1868 pomimo przywłaszczonego sobie tytułu, jest sobie małą książeczką, z której niczego się niemożna nauczyć. Gdyby kosztował pięć groszy miałby zaletę taniości i przystępności; przy teraźniejszej atoli cenie 10 kopiejek nie zasługuje wcale na uwagę.

Co innego *Kalendarz Rodzinny* na r. 1868. Ten w ogóle zasługuje na pochwałę. Daje dużo rad i wiadomości a tanio kosztuje—przytem druk i papier nie zły, a drzeworyty nadspodziewanie ładne — jak w żadnym dotychczas złotówkowym kalendarzu jeszcze nie bywały. Po wypisaniu świąt idzie artykuł objaśniający Spowiedź świętą przez księdza Osieckiego. Następnie idą o kantyczkach, trochę za pobieżny opis, widok Płocka z opisaniem, co jest bardzo właściwem jako poznajamiającem z krajem czytelników, a znać swój kraj jak najlepiej każdy powinien. Dalej idą powiastki dość liczne. *Nagła pomoc* byłaby dobrą, gdyby niebyła podaną za oryginalną choć jest tłumaczoną. *Casus fatalis* jest dość długą humoreską, choć w niej tylko jedna scena djabła z karczmarzem jest trochę humorystyczną — zresztą jest przerobienie znanej dykteryjki z bezpotrzebnym długim wstępem. Za to *Marek Przygoda* opisany przez Zofię z Brzozówki, podobał nam się bardzo; a podobał nam się nie samem obrobieniem, któremu trochę na wdzięku brakuje, ile wskazaniem czem to nie jeden zubożały stać się może, ile dobrego uczynić jest w stanie, nakoniec wiernym opisem stanu okolicy nad rzeką Niewieżą. *Marnotrawca* przez Juljusza Starkla jest bezwątpienia najlepszą z powiastek Kalendarza, odznaczającą się wielkim interessem, effektownością, moralnością— powiastka ta na długo zostanie w pamięci czytelników. Tak samo pochwalić trzeba powiastkę Marji Popławskiej pod tytułem *Palec Boży*. Reszta powiastek nieodznacza się niczem ni złem ni dobrem.

Życiorysów dobór jest bardzo dobry. Klonowicz poeta z czasów Zygmuntowskich, Karol hr. Brzostowski znany dobroczyńca i rolnik, Karol Malcz złotnik, Józef Fraget fabrykant wyrobów platerowanych, Stephensonowie Jerzy, pierwszy, który drogę żelazną wybudował i syn jego Robert znakomity inżejnier zresztą Ryszard-Lenoir znani rzemieślnicy francuzcy — wszystko byli to ludzie warci pośmiertnej wzmianki i godni służyć nam jako wzory pracy, nauki, cnoty i wytrwałości. Oby wielu z czytelników zaznajamiając się z życiorysami tych znakomitych mężów, zapragnęło jednocześnie im dorównać.

Wierszyków znowu bezwarunkowo pochwalić niemożna *Chatka przy moście* ma wiersz gładki ale gdzie w niej sens moralny, *Jak Kuba Bogu* Świderskiego należy do najlepszych, a już o *Przysiędze* to tylko słowami samego autora wyrazić się możemy, że jest w nich,, ciemno, głucho i mglisto". Wiadomości z Nauk przyrodzonych, zebrane przez p. Kamieńskiego i ozdobione drzeworytami są zupełnie w swojem miejscu. *Wycieczka po niebie* choć ciekawa ale za sucha. Rzeczy domowego użytku, i opisy Wystawy Paryzkiej i warszawskiej rolniczej są dość ciekawe, szczególniej atoli uwadze czytelnikowi polecamy dwa artykuły *Domową gimnastykę i o sztucznym pokarmie dla niemowląt.* Rady zawarte w dwóch tych artykułach warte są jak najrozleglejszego zastósowania.—W ogóle powtarzamy raz jeszcze, Kalendarz ten pomimo nieuniknionych nie od Redakcji zależnych często braków i usterek, odznacza się godnym pochwały układem i doborem artykułów.

— **Odwaga kobieca.** Powiadają że kobiety są mniej odważne niż mężczyzni; pominąwszy już to, że odwaga niewieścia wyraża się zwykle w inny sposób niż u męszczyzn, możemy zacytować nie mało czynów kobiet dowodzących prawdziwie męzkiej energji i smiałości. W ostatnich czasach o jednym z takich świetnych przykładów odwagi kobiecej donoszą dzienniki amerykańskie, z tem zastrzeżeniem iż całe wydarzenie nie jest kaczką dziennikarską.

Znane są czytelnikom naszym opisy podziemi Paryża i Londynu, któremi są odprowadzane scieki nieczystości tych miast olbrzymich. Fantazya Wiktora Hugo w Nędznikach wyczerpała wszystkie posępne farby grozy, obrzydzenia, na odmalowanie wędrówki po tych miejscach, gdzie stopa ludzka ze zgrozą tylko chwiejny krok postawić może. A jednak są ludzie, którzy dla zysku odważają się na podobne wycieczki, a nawet czynią z tego rodzaj rzemiosła—prawda że nie kiedy opłacającego się miljonami, jak to własnie miało miejsce w Nowym-Yorku, gdzie podobne kanały istnieją. Otóż o tych Nowo-Yorkskich sciekach krążyło podanie iż, niejaki Szwartz przed laty zwiedził te straszne podziemia, w nadziei nie złego zysku. Jakoż wyniósł on rozmaitych znalezionych przedmiotów za 25,000 dolarów, lecz o mało swej zdobyczy nie przypłacił życiem, zbłądziwszy bowiem w ciemnym labiryncie, tylko wypadkowemu znalezieniu otworu winien był swoje ocalenie. Odtąd nikt już nie powtarzał tak niebezpiecznej próby, aż obecnie udała się ona z niemałym skutkiem pewnej odważnej dziewczynie. Była nią Mary Woker, siedmnaście lat licząca mieszkanka Nowego-Yorku. Na kilka tygodni przed tem przypadkowym sposobem, dostał się jej urywek gazety, z którą zawinięty był jakiś towar, z opisem poprzedniej wyprawy Szwartza. Myśl ta nie odstępowała jej już na chwilę i przeszła w rodzaj monomanji, a chcąc położyć koniec, zwierzyła się z niej bratu i jednemu ze swych znajomych p. Gradi, którzy po niejakiem wahaniu, zgodzili się wziąść udział w wyprawie. Udało im się wydostać plan scieków miejskich, który ściśle zbadali, oznaczyli każdodzienną przestrzeń poszukiwań i kiedy przygotowania były już skończone, grono zapuściło się w podziemia przez okno wychodzące nad rzeczką Aest. Każdego dnia członkowie wyprawy schodzili się w oznaczonych miejscach na przecięciu utworzonem przez rozgałęzione kanały. W kilka dni wszystkie worki wzięte z sobą mieli już pełne. Mis Mary otrzymała polecenie odniesienia tych skarbów do domu, gdy brat jej i Gradi nie ustawali dalej w poszukiwaniach. Odważna dziewczyna wykonała rozkaz, wypróżniła kolejno worki i powróciła powtórnie. Sześć worków jeszcze przybyło do piętnastu poprzednich, gdy pewnego wieczora, Gradi nie zjawił się na umówionem stanowisku. Odtąd nie widziano go już wcale i należy przypuścić że padł ofiarą podziemi. Wtedy rodzeństwo zdecydowało się opuścić podziemia i zaniechać dalszych poszukiwań. Zresztą plony przeszły i tak wszelkie oczekiwanie; znalezione bowiem przedmioty oszacowane zostały na wartość półtora miljona dolarów—dwunastu miljonów złotych! Między wieloma drogocennemi przedmiotami, wymieniają brylantowy pierścien wartości 16,000 dolarów i dwa inne po 5,000 dolarów, i półtuzina po 3,000 dolarów. Mis Woker i jej brat dziś bogacze dzięki swej odwadze i dowcipnemu pomysłowi, zamierzają wynieść się do Anglii, gdzie posiadają rodzinę.



Tytoń

I proszę tu twierdzić teraz, że kobiety nie są odważne!

— **Stare Suknie i Nowy materjał.** Nie ma nic podobnego na całym świecie jak Giełda starych sukien na Haundsdicht w Londynie. Z tej niezrównanej halli, rozchodzą się ubiory na różne strony kuli ziemskiej, ona to dostarcza materjału do wyrobu nowego rodzaju materyj, zwanych Schoddy i Mungo, a co znaczą te dwa nazwiska zaraz opowiemy.

Schoddy jest wyrobem ze starej przędzy wełnianej, nieużytecznych już lub podartych surdutów, paletotów, spodni, chustek, czapek, flaneli i tym podobnych prawie nic nie wartych części ubiorów, zgoła ze wszelkich szmat wełnianych.

Mungo produkują z odpadków nowych materji wełnianych. Strzępy, obcinki i gałgany, któremiby nawet ostatni żebrak pogardził, przechodzą z tej halli do urządzonych na ten cel fabryk, gdzie po wymyciu, wyczesaniu, gręplowaniu, zostają przerobione na nowe postawy. Z dodaniem trochę nowej wełny, nabierają wysokiej wartości, z których następnie produkowane są wielce pożyteczne, a ztąd poszukiwane płaszcze, paletoty, chustki, spódnice, kołdry, których to nie wstydzą się nosić bogate warstwy ludności a nawet dandysi.

Trzy angielskie miasta, Dewsbury, Batley i Leeds wyrabiają rocznie na swych warsztatach tyle materjału ze szmat wełnianych, ile mogłyby dostarczyć 8 milionów owiec nowej wełny na Schoddy. Cena 1-go łokcia tej materji jest od 27 kopiejek do 2 rs. 70 kop. Przemysł ten przeniósł się już do Niemiec, lecz dopiero w zawiązku zostaje. Ciepły i piękny pozór mający Schoddy, oraz Mungo, stał się dobrodziejstwem dla ludności zwłaszcza w klimacie, gdzie od 7 do 8 miesięcy zimno panuje, a dla klass uboższych istną opatrznością, którą wyobrażają dwaj wynalazcy, i od których też materjał ten jest nazwany.

Długi czas marniały niezliczone funty drogocennych kawałków i szmat wełnianych. Dopiero od 6 lat wynaleziony proces na korzyść mass zdołał je spożytkować. Jest to nieprzeparty dowód, że do postępu w cywilizacyi niezawodnie przyczynia się postęp w fabrykach wszelkiego rodzaju, i niech co chcą głoszą rozmarzone poezyą głowy, wynalazki dzisiejsze oddają ludzkości prawdziwie złote usługi.

Jak w naturze nic nie ginie, lecz w nowej postaci odradza się, tak też ze starych rupieci i strzępów, jawią się nowe, posiadające wysoką wartość suknie, i tym podobne wyroby. Każdy dzień przynosząc jaki praktyczny wynalazek, przynosi razem ulgę ludzkości, czyni znośniejszem to życie na ziemi. Teraz sztuczka Mefistofelesa, który toczył wino z drewnianego stolika, może w końcu przestanie być żartem.

---

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowej—Redaktor: Adam Mieczyński.